



pismo miesięczne z obrazkami

—\* wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. \*

Redaktorka i wydawczyni:

**Marja Wysłouchowa.**

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Chorażczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasydy Kullkowskiej.

**Tam, na wschodzie...**

Tam, na wschodzie, zorza świta,  
Taka piękna, złotolita!  
Brylantowem światłem błyska,  
I kaskadą iskier tryska, —  
Wszystko budzi i ożywia,  
Swą pięknością świat zadziwia!

Po wszechświecie leci, goni,  
Złote krople też swych roni,  
W okno chatki wiejskiej puka,  
Bo przyjęcia tutaj szuka, —  
Tutaj szuka — nie w patacach,  
Przy ubogich — nie bogaczach.



Zorza czuje wasze chęci,  
Ze szczerością do was leci,  
Co posiada, to wam daje:  
Miłość, stare obyczaje, —  
Zgodę i tę świętą wiarę  
Przynosi wam na ofiarę.

Hej, dziewczęta i wy, matki,  
Przyjmcie „Zorzę“ do swej chatki!  
Niechaj z wami zawsze będzie, —  
Przy zabawie, przy kołędzie!...

Wojciech Zawada,  
włościanin z Dąbrowicy.





## HANUSIA.

Hanusia miała już wyganiać krowy i zajęła się ku oborze, ale przedtem spojrzała w ulicę, czy Jasiak „od chrzesny matki“ wygnał, bo jak nie... W samej rzeczy! Nie wygnał jeszcze, choć w każdą dziutkę dzień o tym czasie, a nawet i wcześniej nieraz wygania.

— Cóż ono go tak zbawiło?

Stała chwilę, poczekała, ale nie nie widać. Raptem zwróciła się na pięcie i pobiegła ku ich izbie zobaczyć naocznie.

— Czemuż wy nie wyganiaacie? — zapytała „chrzesnymatki“, stając w progu drzwi otwartych, zadyszana biegiem.

— E, bo nima kto wyganiać...

— A Jasiak kany?

— Jaś poszedł z kosiarzami na węgierską stronę... Przyšli — jeszcze nie świtało — ten od Tatara, Józek i Kuba z potoka, co to jeszcze z nieboszczykiem na kośbę chodzali — juści: „Pódź i pódź z nami!“ — Ja mu ta nie doradzała, ale co byś zrobił? Jak się uprze, to ani rusz, taki zmolny do roboty, choć przecie jeszcze dziecko...

— Boże, mój rówieśnik!..

Postała chwilę w progu, wysłuchiwała całej litanji narzekań „chrzesny matki“ i odeszła, nie mówiąc ani słowa.

Zdawało jej się tylko, że duży kamień od młynka stoczył się jej na piersi i gniecie. Nieporada oddechu wydobyć.

Zaszła do swojej obory, pospuszczała krowy i stanęła przeddrzwiami, jakby do znaku zabaczyła, kany, któredy, w którą stronę ma te krowy gnać.

Zajęła je nareszcie i pognała ulicą kamienistą, potem drożyną wąską ponad potok, pomiędzy owsiska.

Pierwszy raz wygania sama... Tak jej się dziwnie zdawało! Nie poznawała drogi. ani pola — wszystko się odmieniło do znaku — za jeden dzień... Zdawało jej się, że niebo wisi tuż nad głową i cięży okrutnie...

— Taka duszność w tem powietrzu, taka ciężka mgła! Deszcz drobny, gęściutki sypał się na trawę, na jałowce, na skały i oślimaczał wąską drogę ponad potokiem.

Zaodziała się lepiej chuściną paczesną i stąpała, przychyłona, w mokre ślady krów, które szły — jedna za drugą — prosto na ugory.

Doganiała już do miedzy pustego ugoru, kiedy wrona przeleciała we mgle nad jej głową i zakrakała wyraźnie trzy razy... Dziewczę zadygotało ze strachu.

— Musi coś wróżyć...

Przeżegnała się nabożnie dla oddalenia nieznanego...

Dognała do miedzy. Krowy, zgłodzone, chwyciły się trawy, a ona siadła, zachylając się od deszczu, przy opuszczonej jedli, która tu rosła sama.

— Sama... on poszedł... nawet nie powiedział...

Nie rozumiała ino, czemu jej tak ciężko, tak smutno i bolesno, jak nigdy przedtem.

Mgła zniżala się ku ziemi; poczęła zwolna osnuwać jałowce szarą, wilgotną przędzą i rozwłóczyć się po trawie długą pajęczyną, aż omotała całe pole i miedze doznaku.

Krów nie było widać.

Nie widać nic.

Słychać ino było z za potoka, od skalistej grapy, nawoływania wron gromadne, przeraźliwe, głośne. Skoro zaś te ucichły, dolatywał od uboczy niewyraźny śpiew.

Ktoś zawodził tam żałośnie. O, znowu to samo...

„Pokochaliśmy się,  
Kieby gołąbecki —  
Heej!.. Ozlecieli my się,  
Kieby jaskółceki —  
Heej!.. ozlecieli my się“.

Płacz głośny zagłuszył śpiew — nie słysząc już nic, ino jeden płacz samotny, płacz nieutulony...

We mgle. przy samej opuszczonej jedli.

*Andrzej Galica.*



## Na zagonie.

Hej! już wiosna przez obłoki  
Ciepłym słońcem się uśmiecha;  
Z gór spływają wód potoki —  
Będzie praca i pociecha!

Skąpo zboża już w stodole,  
Dalej, wołki! — dalej w pole!

Skrzypią pługi, kracze wrona,  
A skowronek het! pogania.

Hej! z zagona do zagona  
Lśniący lemiesz skarb odstawia.

Skiba pada w lewo, w prawo,  
Dalej, wołki, — dalej, zwawo!

Orzcie, orzcie świętą rolę,  
W niej zacności duch spoczywa;  
Miło poczuć pot na czole,  
Wszak to ojców naszych niwa!

Kraj na plony czeka nowe, —  
Dalej, wołki! — dalej, płowe!

*Józef Grajner.*



NA ZAGONIE.

## Tadeusz Rejtan.



**D**iękna uroczystość obchodowa odbyła się w Krakowie, dnia 21. kwietnia ku czci Rejtana, przed jego pomnikiem. Pójdźmyż za przykładem Krakowian i my, wszyscy czytelnicy „Zorzy“ i wspomnieniem serdecznem złożmy hołd temu, co piersią swoją zasłaniał cześć i swobody Ojczyzny.

Wiemy, że w r. 1772, źli sąsiedzi targnęli się po raz pierwszy na całość i niepodległość Polski. Prusy, Rosja i Austria zabrały nam wtedy ogromne obszary ziemi. A chcąc upozorować jakoś przed światem ów czyn grabieży, zażądały te państwa, aby król polski zwołał do Warszawy sejm dla zatwierdzenia pierwszego rozbioru. Powiem jaśniej: chodziło im o to, aby posłowie, przedstawiciele narodu,

oświadczyli imieniem tegoż narodu, że się zgadzają na oderwanie od Polski onych krajów z mnóstwem wiosek, miast i milionami ludu, i że wrogowie mieli prawo je sobie zagarnąć.

Okrutne, bezsumienne żądanie!

Ale Stanisław August, spodlony król, zgodził się z wolą wrogów i rozpiisał sejmiiki, czyli wybory, po wszystkich powiatach.

Wybory odbywały się pod grozą bagnatów moskiewskich. Ludzie musieli oddawać głosy nie na tych, komu wierzyli, lecz na łotrów i zdrajców.

A wśród tej zgrai wyrodných synów, co mieli zaprzedać Ojczyznę, nikczemnym z nikczemnych był niejaki Adam Poniński. Od lat kilku pozostając na żołdzie carowej moskiewskiej, Katarzyny, trwonił na

bezpieczne życie podle zdobywane pieniądze. A teraz, gdy sejm został zwołany na 19. kwietnia 1773 r., sam ofiarował wrogom swoje usługi, byle jeno nie oszczędzili mu złota.

Chcąc dokładnie zrozumieć, jaką rolę odegrał Poniński w tej okropnej dla narodu chwili, należy przypomnieć, że według prawa, którem się rządziła dawna Polska, uchwały sejmu wtedy były dopiero prawomocne, gdy zapadły wszystkimi głosami. Nie dość było większości, trzeba było mieć jednogłośnie. Co więcej: tak nieograniczoną była natenczas wolność szlachecka, że każdy z posłów miał prawo zerwać sejm, skoro nie życzył sobie, aby powzięto na niem uchwały, z którymi się nie zgadzał. Prawo to nazywało się z łacińska liberum veto.

Skoro więc sejmy zbierały się w jakichś ważnych dla narodu chwilach, posłowie tworzyli między sobą jakby związek, czyli — jak mówiono — zawiązywali konfederację. Sejmu skonfederowanego nie wolno już było zerwać, a władzę najwyższą dzierżył w takim razie nie król, lecz marszałek, na niego też spadała odpowiedzialność za powzięte uchwały.

Owoż łatwo można było przewidzieć, że jakkolwiek większość posłów składała się ze zdrajców, przekupionych przez wrogów, znajdujących się w izbie sejmowej i ludzie uczciwi, którzy nie zechcą zatwierdzić rozbioru i zerwać sejm. Wrogowie życzyli więc sobie, aby sejm został skonfederowany, a Poniński obiecał im, że tego dokaże i sam się ofiarował na marszałka.

Jakoż przed otwarciem jeszcze sejmu, wyjednał od kilku nikczemnych posłów już to namową, już groźbą, lub przekupstwem podpisy na konfederację, a potem wykonał przed jednym z nich przysięgę na urząd marszałka.

To, co czynił Poniński, było bezprawiem, było gwałtem. Ale upadek ducha w narodzie był wtedy tak głęboki, że kiedy dawny marszałek, Łętowski, oznajmił izbie poselskiej, że sejm został skonfederowany i przedstawił Ponińskiego, jako marszałka, — dwaj jeno posłowie porwali się z protestem, z zaprzeczeniem. Byli to Rejtan i Korsak, obaj Litwini, obaj posłowie z nowogrodzkiej ziemi. Do tych dwóch przyłączyli się później posłowie łęczyccy. Rejtan pochwycił laskę marszałkowską, oznakę władzy, wołając, że jej nie odda w ręce skalane. Poniński zaś

usiłował ją wydrzeć. Wszczął się spór, kłótnia, zgiełk, wobec czego posiedzenie sejmowe musiało być odroczone.

Przez dwa dni garstka zacnych posłów walczyła odważnie, nie uznając konfederacji, domagając się sejmu zwyczajnego. Wtedy Poniński udał się pod opiekę Prusaków, otoczył się ich wojskiem i zapisał przemocą akt konfederacji do ksiąg urzędowych. A po dokonaniu tych czynów łotrowskich, zwołał do swego prywatnego mieszkania zaprzędanych posłów i sądem konfederackim skazał Rejtana na hańbę, na infamję.

Sądził, że teraz nikt już nie ośmieli się stawić mu oporu.

Ale kiedy izba sejmowa zebrała się na obrady dnia 21. kwietnia, Rejtan stanął znowu w obronie praw i godności narodu, a teraz daleko więcej posłów, bo 17 znalazło się po jego stronie.

Spór między tymi szlachetnymi, a spodloną większością stawał się coraz gorętszy. Widząc to książę Marcin Lubomirski, wysłaniec Ponińskiego, wezwał, w imieniu marszałka, posłów do rozejścia się.

Gdyby uznali rozkaz i byli mu posłuszni, byłby to dowód, że uważają Ponińskiego, jako marszałka i poddają się jego woli. Kiedy więc tchórze i nikczemnicy powstali z miejsc, Rejtan i Korsak rzucili się ku drzwiom, rozkrzyżowali ramiona i nie chcieli ich puścić, zaklinając, by obrali innego marszałka, by nie gubili Ojczyzny!

Nadaremne usiłowania i zakłęcia nadaremne!

Posłowie tłoczyli się coraz gwałtowniej ku drzwiom, — odepchnęli Korsaka. Wtedy Rejtan, uniesiony rozpaczą najwyższą, padł przed progiem izby sejmowej, wołając: „Idźcie na zgubę i potopienie wieczne! Depczcie to łono, które się zastawia za cześć i swobody Wasze!”

I stała się rzecz okropna: posłowie przeszli po ciele Rejtana. W izbie zostało zaledwie szesnastu, — potem już tylko sześciu...

Rejtan pozostawał w sali sejmowej przez 38 godzin i opuścił ją wtedy dopiero, gdy zwołano posiedzenie posłów do innej sali.

Poniński pragnął pozbyć się Rejtana, który był jakby sumieniem deptanego narodu. Wezwał go więc do siebie pod strażą i ofiarował mu 2 tysiące dukatów, byle opuścił wraz z Korsakiem Warszawę.

— Przywiozłem ze sobą 5 tysięcy dukatów — odpowiedział Rejtan — dam ci je, byleś się zrzekł łaski marszałkowskiej i zdrady.

Nie podziałała na Rejtana ani groźba uwięzienia. Pozostał w Warszawie, a chociaż nie bywał na posiedzeniach sejmku, wpływem swoim podtrzymywał ducha w zacniejszych posłach, dodawał im hartu i odwagi do oporu. A ta niezłomność, ta wielkość jego duszy uratowała cześć narodu, powiedziała swoim i obcym, że Polska ma jeszcze wielkich synów, których cnota rozpała kiedyś nad nią wielkokrężne słońce odrodzenia...

Dla samego jednak Rejtana nie zabłysło już nigdy słońce żadne. Niedola Ojczyzny zatrzała boleścią jego serce. A to, co widział w Warszawie, gdzie magnateria sprzedawała Ojczyznę wśród szalonych zabaw i rozpusty, odebrało mu nadzieję w lepszą przyszłość. To też gdy wrócił do domu, na Litwę, nikt i nigdy nie widział uśmiechu na jego twarzy. Szarpało się coś i jęczało w jego piersi, jak się szarpie i jęczy przepastna puszcza litewska, gdy wichur jesiennej w jej ściany uderzy... Szarpało się, aż pękło: — nieszczęśliwy dostał obłąkania i w przystępie rozpacz sam sobie życie odebrał.

„Miał duszę szlachetną: szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie“...

\* \* \*

Scenę, która się odegrała w sejmie warszawskim dnia 21. kwietnia 1773 roku, przekazał potomności w przepysznym obrazie najslawniejszy z malarzy polskich, Jan Matejko.

Z prawej strony ogromnego obrazu Matejki, widać postać Rejtana. Leży przed progiem sali i odsłania piers. A twarz, na której się maluje męzka stałość i ból bezbrzeżny i błaganie, ma tak cudną, że kto ją raz widział, nie zapomni nigdy. Przed nim stoi zdrajca Poniński w stroju, od złota kapiącym, i we wściekłym gniewie wyciąga rękę ku żołdakom pruskim, którzy się ukazują z za uchylonych drzwi i zdaje się wołać, że każe im wyrzucić Rejtana. Za Ponińskim tłoczą się inni magnaci-zdrajcy, przyszli targowiczanie. Z lewej strony obrazu stoi król, bezmyślny, obojętny, jak lalka wystrojony i nie zwraca żadnej zgoła uwagi na Korsaka, który wyciąga ku niemu błagalne dłonie. A wszystkie te postaci posłów genialny malarz potrafił tak odmalować, że widać w nich całą nikczemność pokolenia, które zgubiło Polskę.

I groza przejmuje patrzącego. — Wszystkoż stracone? — Czy niema ani promyka nadziei na ponurym obrazie?...

Oh, jest, jest!

Tam, w głębi, wychyla się z pośród posłów twarz młoda i jako kwiat wdzięczna, — twarz pacholęcia, dziecka prawie. Pacholę wyciąga ramiona, niby młode orle, zrywające się do lotu, a w rękach błyska mu nagi miecz!

Ta postać młodzieńcza, którą malarz, z wyobraźni wysnuł, to przedstawiciel innego pokolenia, które miało odrodzić Polskę, a które wtedy dorastało. To przedstawiciel pokolenia, co uchwaliło Konstytucję Trzeciego Maja, a za czasów Kościuszki wołało błyskawicami kos chłopskich i piorunem robotniczych młotów: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

M. Wysłouchowa.



Jeziro Świtez — na Litwie, w nowogródzkim powiecie.



## Ź Sienkiewicza w gošcinie.

Pan Wincenty Stec, gospodarz parumorgowy z pod Sandomierza, wybrał się był niedawno w podróż do Warszawy umyślnie po to, aby zobaczyć Henryka Sienkiewicza i zawieźć mu w darze, ze szczerego serca, to, na co go było stać, a mianowicie bochen czarnego chleba, który ważył 34 funtów.

Przypomnę przy tej sposobności, że Sandomierz leży na lewym brzegu Wisły, niedaleko od Tarnobrzęga, lecz w ziemi, zagrabionej nam przez Moskali.

Owoż p. Stec nie żałował znacznych, jak na jego kieszeń, wydatków, byle jeno poznać znakomitego pisarza i osobiście podziękować za przyjemność, której doświadczał, czytając jego powieści. A potem całą podróż i bytność swoją u Sienkiewicza opisał w długim liście, który wydrukowała „Gazeta Polska“, wychodząca w Warszawie. Z tego listu powtórzę tu Wam, drodzy Czytelnicy, ustęp najciekawszy, ten mianowicie w którym p. Stec opowiada, co czuł, myślał, mówił, słyszał, będąc u Sienkiewicza.

„Gdym wszedł do mieszkania, prowadzony przez służącego, — pisze pan Wincenty Stec — serce we mnie zadygotało, jeszcze mi się cieplej zrobiło; idę przez jedną salę, wchodzę do drugiej, patrzę: pan Sienkiewicz siedzi przy biurku, podniósł się i podchodzi bliżej mnie, a ja mówię: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — „Na wieki wieków, Amen!“ — odrzekł pan Sienkiewicz. Zacząłem mówić temi słowy: „Drogi mistrzu! Jestem rolnikiem z pod Sandomierza. Tam, gdzie rzeka San do Wisły domierza — tam się nam rodzi żytko, owies, jęczmień i pszenica, a po skończonej pracy czytamy sobie powieści pana Henryka Sienkiewicza.

Drogi mistrzu! Nie czytam pism obszernych i nie wiedziałem o twoim jubileuszu. I dowiedziałem się teraz, za późno. Miałem chęć zobaczyć cię na własne oczy. Otóż Pan Bóg mi pozwolił, że cię widzę. Ale cóż ci mam powiedzieć, ja, biedny rolnik, nieuczony? Ale czytam książki twoje: „Ogniem i mieczem“ i „Potop“, zastanawiam się nad mądrością twoją. Otóż jakże ci mam za tę pracę podziękować i życzyć? — Życzę ci, żebyś doczekał w życiu swoim stuletniego jubileuszu. Żebyś z tej córeczki Jadwigi, którą kochasz, doczekał się wnuków i prawnuków. A więcej cóż ci mam powiedzieć, drogi mistrzu? Otóż powiem ci, że się cieszymy, żeś i ty został współobywatelem ziemskim, bo my, rolnicy, tę ziemię kochamy. Cóż za prezent, ja, rolnik, miałem ci przywieźć? Serce mam najdroższe, lecz wyjąć go nie mogę. A po sercu mam chleb, który mi Bóg Wszechmocny dał. Bądź łaskaw przyjąć tę bułkę chleba odemnie. I pracuj nam, jak dotąd pracowałeś, w błogosławieństwie Bożem!

„A pan Sienkiewicz wziął mnie spracowanemi rękoma, uściskał głowę i pocałował mnie. Wziął chleb odemnie, położył na stole i mówi: „Widzisz, przyjacielu, że nie cieszy mnie tyle majątek, co mnie cieszy to, że moja praca bez pożytku nie jest. Że moja praca trafiła do was, pod strzechy, to mnie cieszy, to mnie raduje“. Później poszedł do stołu i wziął kulę żelazną, przepasaną złotą prążką, i mówi: „To jest pamiątka, co mi przysłali z Częstochowy“. I pokazał mi rozmaite miecze, wiszące na ścianie. Później poszedł pan Sienkiewicz do szafy i wziął książki, takie duże, w ślicznej oprawie i każdą rozłożył: „Widzisz, kiej ty nie

jesteś uczony, to te litery są angielskie“. Później rozłożył drugą książkę i mówi: „To są litery francuskie“. Później o jednej książce mówi pan Sienkiewicz: „To są litery podobne do żydowskich, to są ormiańskie, później niemieckie i t. d.\*) Potem pan Sienkiewicz wziął fotografię swoją ze stołu, podpisał się na niej i dał mi na pamiątkę. Później dał mi bilecik, żeby pójść na Krakowskie Przedmieście do księgarni Gebethnera i Wolffa. „Tam ci wydadzą ośm książek „Krzyżaków“. Kazał pan Sienkiewicz potem służącemu, żeby zawołał dorożki, abym pojechał do księgarni. Pędziłem przez parę ulic, jak jaki pan, pierwszy raz w takim dogodnym siedzeniu. Nie umiem wytłumaczyć, jak rozradowane było moje serce, że mogłem rozmawiać z tak wielkim pisarzem“.

W dalszym ciągu Wincenty Stec opisuje parogodzinne zwiedzanie Warszawy i powrót do domu. Dodaje, że ur. w r. 1864, w późniejszym wieku nauczył się, jako pastuszek bydła, czytać; pisać do-

tychczas nie umie — uczył się wraz z żoną kilkanaście dni, aby umieć przynajmniej podpisać się — a list powyższy dyktował swej 11-letniej córce, Filipinie. Znajdujemy wreszcie szczegóły, dotyczące osobistego życia i gospodarstwa Steca.

Nie wiem, jak Wam się ten list podobają, drodzy Przyjaciele, co do mnie, czytałam go razy kilka i nacieszyć się dość nie mogę. Bo i jakże? — pomyślcie jeno sami: car-olbrzym gasi, niby jaki nietoperz, drobne światełka w naszych chatkach, a jednak coraz w nich jaśniej. Car-olbrzym zamyka szkoły, a nasi chłopcy, za byłem chodząc, uczą się czytać i poznają dzieje swego narodu i rozpalają w sercach swoich święty ogień miłości dla umęczonej Ojczyzny. Jakże się więc nie radować, jak nie wierzyć, że rychło wybije wielka godzina, w której chłopcy polscy nie dadzą się deptać okrutnym satrapom, lecz „zawdzieją swe pancerze i podniosą swe pałasze i dzisiejszych zgromią panów i odbiorą to, co nasze?“...



Wśród ponurej nocy dumał w podziemiach więziennych w Jedykule, obok Carogrodu\*\*) leżących, bohater polski, Samuel Korecki. On — zwycięzca, niegdyś

## Łzy nauuczające.

*Męztwo w niedoli.*

Turków, teraz dźwigał ich kajdany. I wśród ciszy nocnej zadumał się, przypominając swe dzieje.

Kiedy w r. 1616 najechał wraz z księciem Wiśniowieckim Multany i Wołoszę, a po pięciodniowej walce, zdradą pojman, dostał się do niewoli, Wołosi wydali go Turkom w zamian za udzieloną pomoc przeciwko Polakom. Gdy zaś o uwięzieniu Koreckiego dowiedział się sułtan, czyli król turecki, kazał odważnego Lacha przed się przyprowadzić. Ujrzawszy go, zapytał, od kogo dostał pozwolenie najechania jego krajów.

— Mnie, sułtanie, nikt nie może pozwalać, nikt nie może zakazywać!

\*) Książki, które Sienkiewicz pokazywał miłemu swemu gościowi, były to niezawodnie własne jego powieści, tłumaczone na różne języki obce.

\*\*) Carogrodem nazywała się dawniej stolica Turcji, Konstantynopol.



U mnie — jam tylko panem! — odrzekł dumnie Korecki.

Wtedy sułtan jął go namawiać, by ugiął karku przed Mahometem\*\*), za co zostanie wolnością obdarzon. Daremne zabiegi! Otrzymał odpowiedź, że Korecki nigdy nikomu kłaniać się nie będzie.

Uniesiony gniewem wskutek tej odpowiedzi, sułtan każe Samuela wtrącić w najpodziemniejsze więzienie — ale ten, przekupiwszy strażę, uchodzi cało. Po ucieczce składa Bogu dzięki za ocalenie: udaje się do Włoch, do Loretto, aby tam Matce Boskiej podziękować za szczęśliwą ucieczkę, a prosić o opiekę na przyszłość. Z Włoch wraca do Ojczyzny, jakby gość z za świata. Tu między swymi niedługo bawi. Sędziwy bowiem hetman, szronem starości ubielony, Stanisław Żółkiewski, z dziesięciu tysiącami wojska polskiego wyrusza roku 1620 za Dniestr, by nawałę turecką wstrzymać.

Samuel Korecki nie zostaje w tyle za innymi: on udaje się tam, dokąd Ojczyzna go woła. Na polach cecorskich walczy obok hetmana — lecz nieszczęśliwie i po raz wtóry dostaje się w ręce wroga. Okryty ranami, dźwigając ciężkie kajdany, patrzył na walkę Żółkiewskiego, który, wsparty na ramionach syna i synowca, bronił się, dopóki miecz dzierżył w ręce. Potem widział własnymi oczyma chwilę, w której głowę hetmana włożono na żerdź i obnoszono po całym obozie!...

Och! jakież boleści musiał przecierpieć, gdy widział porażkę swoich!...

I czemuż nie zginął sam przy hetmanie, jak dobry żołnierz, co pada w obronie wodza, czemuż ziemia cecorska nie objęła swemi ramionami ciała bohatera i nie skryła w swem łonie?...

Widać, Opatrzność inaczej zrządziła...

I czy ujrzy on kiedy Ojczyznę? czy ujrzy kiedy lany polskie, żytem posrebrzane, pozłacane pszenicą? czyż ujrzy kiedy rodzinę swą?... Czy znajdzie grób w Ojczyźnie, w Polsce?...

\*\*\*) Turcy uważają Mahometa za największego proroka, a naukę jego wyznają, jako religję.

Tak dumął Korecki, na żelazistej sparszły się dłoni...

...Noc ciemna, ponura noc... W więzieniu cmentarna cisza i spokój grobowy. Wiatr nieco przycichł, tylko w dali szemrał Bostor\*) swe żale, szumiał falami i uderzał w podziemia tak, iż się zdawało, że całe więzienie woda zaleje...

Nagle zda mu się, jak gdyby promyk błysnął! Światelko?... Złudzenie, czy rzeczywistość?... Nie, on się nie myli! Słychać kroki — tak, ktoś idzie... Ale cóż niesie: wolność, czy śmierć?...

Zamki zachrząły. Wchodzi wysłaniec sułtana, oznajmia mu wolność. Grom uderzył w Samuela. Tygrysi swój wzrok wbił w serce mówiącego... Czegoż się wysłannik trwoży, waha?... Zdrada! Korecki w oczach mu zdradę wyczytał. Nie rzecze ani słowa, tylko stąpa naprzód. Już ma próg więzienia przekroczyć, gdy ucuwano na szyi pętlicę. Zbladł, a usta wyszeptaly króciuchną modlitwę:

— Królowo Korony Polskiej! nie daj marnie zginąć słudze Twemu!

Czuje w sobie siłę lwa. Pięścią powala najbliższego Turka i zdobywa miecz. Naprawdę zgraja ku niemu przypada: on nie zna trwogi! Wszędzie do stóp powala. Olbrzym — czyliż niezwykły?...

... Na krzyki przypadają drudzy, niosąc żelazne drągi. Lecz na nic wszystko: Samuel nie zna trwogi! broni się ciągle! Wtem broń wypada mu z ręki — on nie daje za wygraną: szarpie, gryzie, i znów kilku Turków zalega podłogę więzienną... Ale sił mu już nie staje...

Oczy mgłą zachodzą...

Słania się...

Och! — jeszcze jednego... wtem raz w głowę i pada z roztrzaskaną czaszką...

... Tak poległ — nie zdradą, ni podstępem — ale w walce, od miecza, od żelaza poległ mąż żelazny, złamany — lecz nieugięty!...

II. Ramer.

\*) Bostorem zwano dawniej Morze Czarne, nad którym stoi miasto Konstantynopol.





## JASKÓŁKI.

Choć wiosna chmurna, choć słońce skąpi złotych promieni, jaskółki przyleciały do nas o zwykłej porze z zamorskich krain. Pełno ich wszędzie. Murują gniazdka nad oknami, na poddaszach i w izbach mieszkalnych, — śmigają w powietrzu, szybkie, jako błyskawica, kręcą się, wiją się w kółko, to niżej, to wyżej nad kryształową falą wezbranych wód wiosennych. Pełno ich wszędzie. Niechże poświegocą coś-niecoś i w naszej gazecie. Wszak to maj teraz, — maj, co daje roślinom barwy i woń, a ptaszkom głos!

Jaskółka należy do ptaków najbardziej lubianych nie tylko w naszym kraju, lecz wszędzie na świecie. I nie dziw! Taka zwinna, taka śliczna i tyle ma pięknych zalet.

Któż nie zna naprzykład jej pracowitości? — Nie wygrzewa się leniwie na słońku, nie kąpie się w ciepłym piasku, jak to czynią tłuste wróble, lecz goni od brzasku do zorzy wieczornej, aby mieć dość pożywienia dla siebie i dziatki. Bo z własnej pracy żyje, jak każde uczciwe stworzenie, nie zaś jak wróble, niecnoty, co rade zjadają ludziom słodkie czereśnie, koralowe wiśnie, lub, co gorsza, opadają niezliczonym stadem sterty zboża, w których każdy kłos, to chłopski pot krwawy.

Wielka zapobiegliwość jaskółek służy nawet ludziom jako przykład, godny naśladowania. Nie jedna gospośnia, nie jedna dziawucha myśli z zazdrością, patrząc na chybłą jaskółkę: „Gdybym też mogła, jak ona, uwijać się przez caluteńki dzień boży wkoło swego domku, pracować dla dobra rodziny, dla dziatki i nie czuć nigdy znużenia!“ — A w Wiśle, przepięknej wiosce śląskiej, położonej w gó-

rach, u źródeł rzeki Wisły, istnieje nawet zwyczaj taki: dziewczęta, zobaczywszy na wiosnę po raz pierwszy jaskółkę, gonią co tchu nad potoki i zmywają sobie twarz perlącą się wodą, aby się pozbyć na cały rok ospałości i lenistwa, aby być taką wartką, gibką, lekką, pracowitą, jako jaskółka, czyli lastówka, jak tam mówią.

Jaskółka dużo czasu poświęcić musi na wyżywienie siebie i rodziny, lecz nie mało trudu kosztuje ją także budowanie gniazdka. Tak zwana oknówka muruje gniazdo nad oknami lub pod gziemami murowanych domów. Jako materiał do swojej budowy, bierze glinę, którą zwilża wodą i śliną. A chcąc uczynić ją trwalszą na słoty, dodaje do niej włosie i potarganą w drobne kawałki słomę. Pracowita budowa takiego gniazdka trwa od 12 do 15 dni, bo każda warstwa gliny musi dobrze wyschnąć, aby można było trwale umieścić na niej następną.

Tak samo zupełnie, jak oknówki, buduje gniazda swoje i inny gatunek jaskółek, zwany dymówkami. Gniazda dymówek są jednak bardziej otwarte u góry, bo mieszczą się nie zewnątrz, lecz wewnątrz budynków drewnianych, a mianowicie w stodołach, stajniach, a także na poddaszach, w sieniach i kominach izb wiejskich.

Natomiast jaskółka, zwana brzegówką, nie jest mularzem, jeno wybornym kopaczem. Przy pomocy dzióbka i pazurków kopie w brzegach rzek długi, okrągły kurytarz podziemny, rozszerza go w głębi w kształt gniazdka i tam znosi jajeczka. Brzegówki, wylatując wiosną z tych swoich nor, ukrytych nad wodą, dały początek mniemaniu, jakoby

jaskółki spędzały zimę, uspione na dnie rzek. Mniemanie to jest wręcz przeciwne prawdzie. Jaskółki, podobnie jak inne ptaszki i jak wszystkie wogóle zwierzęta, co oddychają płucami i mają krew gorącą, nie mogą pozostawać przez dłuższą chwilę pod wodą, bez uduszenia się tam dla braku powietrza.

Ale wracam do pięknych zalet jaskółki.

Cnotą wyższą, doskonalszą, daleko gorętszy budzącą podziw, niż pracowitość, jest jej wielka miłość dla rodziny. Nie tylko troszczy się o swoje pisklęta z zapobiegliwością najczulszą, lecz utratę ich przepłaca nieraz życiem. Bywały wypadki, że jaskółka, goniąc z żałosnym płaczem złego chłopca, który unosił jej gniazdko, padała u nóg jego martwa. Pękało jej serce z nadmiaru boleści, — małe, a jednak bogate w uczucia serce ptasie!

O przywiązaniu zaś wzajemnem, które łączy pary jaskółcze między sobą, pewien sławny uczony francuski, imieniem Kiuwje\*), opowiada, co następuje:

Nad samem oknem jego mieszkania młoda para jaskółek jęła murować sobie gniazdko. Kiuwje, jako przyrodnik, którego celem jest poznawanie zwyczajów i życia zwierząt, pilnie przypatrywał się i samym ptaszkom i ich robocie, a wkońcu ich pisklętom. One też oswoiły się szybko z poważnym uczonym, który całemi dniami przesiadywał w oknie nad książką i nie płoszyły się wcale, gdy przy pomocy drabiny zaglądał do ich domku. To też następnej wiosny, kiedy jaskółki wróciły do opustoszałego gniazdko, Kiuwje poznał zaraz w wychudzonych ptaszynach dawnych znajomych, a one witały go miłym gędzioleniem, zakreślając błyskawiczne koła przed jego oknem.

Ale cały rok szczęścia to bardzo wiele w życiu ptasiem — i nie tylko ptasiem. Po dniach pomyślności nastały dla jaskółek czasy niedoli. Pewnego ranka drapieżny jastrząb uderzył na samca-jaskółkę i byłby go zabił odrazu krzywym dziobem, gdyby sam nie poniósł śmierci od celnego strzału Kiuwjera, który zobaczył przez okno pościg jego za miłą ptaszyną. Nie szczęście jednak chciało, że parę ziarenek śrótu utkwilo i w skrzydełku jaskółki, która padła na murawę, skrwawiona. Rana

nie była przecież śmiertelna i uczony francuski, opatrzywszy ją starannie, zaniósł chorą ptaszynę do gniazdko. Teraz przed jaskółką-samicą otworzyło się szerokie pole do pracy, do poświęceń, do okazania, ile tkliwości może się mieścić w szybko bijącym jej serduszku. Nie odlatywała daleko od gniazdko, ale uwijała się żwawiej, niż kiedykolwiek, aby upolować tyle muszek, ile ich potrzebował chory towarzysz. W wolnych chwilach natomiast, uczepiona o brzeg gniazdko, świegotowała nawpół tęsknie, nawpół wesoło, chcąc go pocieszyć, sprawić mu rozrywkę w cierpieniu. Nawet w chłodne noce nie chroniła się sama do gniazdko, pozostawiając cały domek choremu, aby mu było wygodniej. Z Kiuwjerem, który co dnia opatrywał skrzydełko jej towarzysza, oswoiła się zupełnie i dawała mu się brać w ręce, nie okazując obawy.

Ale najtroskliwsze zabiegi nie wróciły zdrowia biednej ptaszynie. Niknęła w oczach. A pewnego dnia żałosny świegot i bicie drżących skrzydełek o szybę zbudziły Kiuwjera o brzasku. Domyślił się wnet katastrofy. Jakoż zajrzawszy do gniazdko, znalazł w niem martwą jaskółkę...

Żal pozostałej był nieutulony. Przesiadywała całemi dniami w gniazdko, nie radując się ani słońcu, ani wiosnie, — nie troszcząc się o pożywienie, przyjmując tylko to, co jej podawała życzliwa dłoń przyjaciela-człowieka. A po dniach kilku, zmęczona bólem i żalobą, zakończyła smutny żywot.

Wzruszająca opowieść, nieprawdaż, drodzy Czytelnicy? — I prawdziwa — od pierwszego do ostatniego słowa prawdziwa, bo wielki uczony francuski nie zniżał nigdy czystych ust do zmyślenia, a choćby jeno do przesady.

Miłość rodzinna, którą ogarniamy istoty sobie najbliższe, choć świadczy o szlachetnem, nie samolubnem sercu, — pospolitszą jest wszakże, niż uczucie wyższe, co obejmuje wszystkich bliźnich, co każe ponosić trudy dla dobra dalekich, nieznanych. Owoż i to uczucie wyższe miłości bliźniego spotykamy u jaskółek. Troszczą się one bardzo jedne o drugie, dopomagają sobie wzajemnie, jak mogą. Najlepiej da się to poznać z przykładów następujących.

Zdarza się, że leniwe wróble, co to wolą ćwierkać bez końca i miary, niż

\*) Po francusku nazwisko tego uczonego tak się pisze: Cuvier.

pracować, przywłaszczają sobie świeżo wymurowane gniazdko jaskółek. Wtedy pokrzywdzona para, zbyt słaba, aby sama mogła stawić czoło wydziercy, leci z prośbą o doradę i pomoc do towarzyszek, a te nie zawodzą nigdy ich zaufania. Zgromadzają się wnet w stado ogromne, dwieście, lub trzysta głów liczące, zaczem każda nabiera, jak może najwięcej, gliniastego błota w dzióbek i wypluwa je na wydzierców. Po zamurowaniu wróbla, wszystkie jaskółki podają sobie łapki do wspólnej pracy i w krótkim czasie wybudowują nowy domek dla wywłaszczonej z posiadłości pary.

O podobnych praktykach jaskółek opowiadali mi ci, co widzieli je na własne oczy. Wspominają o tem także uczeni przyrodnicy w dziełach swoich, a między innymi i sławny Kiuwje. Wolę jednak powtórzyć tutaj to, co pisze z tego powodu o jaskółkach utalentowany pisarz chorwacki, Franciszek Mażuranicz, — a czemu wolę, domyślicie się sami łatwo. Oto są jego słowa:

„Gdy jaskółki wróciły wiosną do Celowca\*), zastały w gnieździe swoim, na ruinach zamku, wróbla. Wydzierca nie chciał w żaden sposób ustąpić z zajętego gniazda.

„Jaskółki odfrunęły. Ale niebawem nadleciało ich całe stado, a każda niosła zlepek błota w dzióbku. W oczach mnóstwa przyglądających się ludzi zamurowały wróbla w przywłaszczonem gnieździe.

\*) Celowiec — jedno z głównych miast słowiańskich.

„Widziałem owo gniazdo w celowieckim muzeum. Sterczy z niego jeno dziób wróbla, który usiłował je przebić w przedśmiertnem pasowaniu się...

„Tak czynią jaskółki w słowiańskim kraju — pomyślałem, przypatrując się gniazdu — a jak się zachowują bracia Słowiańcy względem tych, co zabierają im dom?... Tak samo, zupełnie tak samo, jak i Chorwaci: oto przynoszą wydziercy naręczę słomy, aby miękkie miał posłanie.“

Tyle Mażuranicz. Sądę, że gdyby znakomity pisarz chorwacki znalazł nasz naród równie dobrze, jak słowiański i swój własny, toby i o nas, Polakach, powiedział to samo. Alboż nie jesteśmy potulni i grzeczni wobec wrogów, którzy urągają uczuciom naszym najdroższym i najświętszym prawom? Alboż umiemy bronić, jak jaskółki, zgodnie i wytrwale, gniazd swoich przed napaścią i gwałtem?...

Niestety, miłość dla prawdy każe dać odpowiedź przeczącą na pytania powyższe.

Chciałam wspomnieć jeszcze o stósunkach moich osobistych z jaskółkami, ale widzę, że trzeba to odłożyć na późniejszą jaką chwilę. Kończę więc prośbą, aby młodzi czytelnicy „Zorzy“ dali mi słowo, że nie zburzą tej wiosny ani jednego gniazda, i to nie tylko ślicznym jaskółkom, ale żadnym wogóle ptaszkom. Czy dobrze, młodzi Przyjaciele? — Czy zrobicie to, o co proszę szczerze i z zaufaniem wielkiem w dobroć niewinnych serc waszych?...

M. W.





## Listy do „Zorzy“.



*Zakopane. Kuźnice, d. 4. kwietnia 1901.*

Jak ino najmilsza „Zorza“ nam za-  
błyśnie, tobyśmy wnet rade same do niej  
pisać. Ale wiemy, że nie można tak czę-  
sto. Więc odrazu powiem wszystko z dwóch  
miesięcy.

Dostałam Nr. 4 w niedzielę rano i bar-  
dzom się ucieszyła, że najmilszą gazetkę  
otrzymała. I com tylko przyszła z ko-  
ścioła, tom sobie zaraz zasiadła do czy-  
tania, a siostra zaraz mi mówiła: „No, ino  
nie sama sobie czytaj, ba głośno a wy-  
rażnie, bo ty czytaj, a ja mogę co robić“.  
I ja jakem się wzięła do gazetki, tom so-  
bie przeczytała całą i tak prędiutko, że  
kiedym dokończyła, tom mi się siostra spy-  
tała: „Czy to już koniec?“ — A ja na to,  
że nie koniec, bo przecież każdy miesiąc  
sobie czytam gazetkę i jeżeli Pan Bóg da,  
to może gazetka „Zorza“ nigdy nie prze-  
stanie zaglądać do nas, dziewcząt w gó-  
rach. — Na drugi dzień wzięłam ją do ro-  
boty, aby sobie przeczytały inne czytel-  
niczki „Zorzy“.

Teraz piszę jeszcze do drogiej Re-  
dakcji, że się stał wypadek w Zakopanem.  
Oto był pożar dnia 24. stycznia w nocy,  
o godzinie 1. Ale nie narobił żadnego  
wielkiego nieszczęścia, ponieważ wtedy  
leżał taki wielki śnieg, że trudno było  
zajść do kościoła. Ba żeby nie było śniegu  
na dachach, toby było poszło z pewnością

całe Zakopane, bo to w takim miejscu  
padło, że nawet wody nie było skąd brać,  
tylko śniegiem zarzucali ogień. Więc spa-  
liła się tylko jedna krowa i słomy coś  
dostyc dużo i pies się także spalił. Ale  
z czego to wyszło, to nie wiadomo. Jedni  
mówią, że tam mieszkali rzeźbiarze, to  
pewno od papierosów się zajęło. No, ale  
dzięki Bogu, że się nie spaliło więcej do-  
mów, a mógłby pójść z dymem i nasz  
stary kościół i Kasa.

Jak śnieg przepadł, to go też i prędko  
ubyło trochu, bo we święto Matki Boskiej  
to nawet deszcz trochę padał. A 19. marca  
to tyle przybyło wody, żeśmy musieli  
czempredzej puszczać fabrykę i deszcz  
padał przez całą noc. Ale jak prędko  
przyszła ta woda, tak i prędko ubyła. Za  
to teraz jak przyjdzie, to może Pan Bóg  
da, że nie ubędzie. Ale wszystko w rękach  
Bożych.

Powiem jeszcze, że przybyła nowa  
czytelniczka, która nie dawno przyjechała  
ze służby. Bardzo się jej to spodobało, że  
my tu dostajemy gazetki, z których można  
się coś dowiedzieć ciekawego. Ona także  
będzie pracowała we fabryce, a nazywa  
się Karolina Hoła i jest siostrą Hanusi,  
którą pani już zna.

Już nie mam co pisać ciekawego do  
najukochańszej „Zorzy“, ponieważ i to  
nie jest ciekawe, a piszę tylko dla przy-  
jemności do milej „Zorzy“, bo to jest  
bardzo miło, gdy sobie przeczytam w ga-  
zetce swój list. Ale sto razy bardziej my  
się radowały z listu od drogiej czytelni-  
czek z Zaborcza, Marji Markulisówny i  
Apolonji Harlówny. A chociaż nie wiemy  
kany wioska wasza leży, zasyłamy Wam  
telo pozdrowień, co ażę strach! Niech  
Pan Bóg daje wam dobre zdrowie i wszy-  
stko dobrze. A niech-że i lasy wycięte  
odrosną jak najprędzej. U nas lasy gęste,  
ciemne, same smereki śmigle.

Teraz życzymy szczęścia i pozdra-  
wiamy wesoło najmilsze Czytelniczki „Zo-  
rzy“ i najmilszą redaktorę.

*Ja, Teresa Szeliga, Anna Hoła, Karolina Hoła,  
Karolina Szmid, Anna Szeliga.*

*Landok na Spiżu. W marcu.*

Z wielką ciekawością wyczieram ka-  
żdego numeru „Zorzy“, bo miałem wielką  
chęć dawno co napisać, ale barz mi się  
mało czasu zwyszy do pisania, bo rano  
trza wstać o 3-ciej godzinie, a robota

ciężka na pańskim, we dworze, trwa aż do 10 wieczór. To zaś w domu potem muszę dzieciom obucie i odzienie poprawić, boby spadło z nich, gdyby człowiek nie polatał. Ale gdy dopadnę trochę czasu w niedzielę po nieszporze, to bierę pióro w rękę i piszę. Tak też czynię i dzisiaj.

Ze dwa roki była wielka pustka tu u nas, w Landoku, nie było po strasznym pożarze ani dzwonów, ani organisty. To nam było bardzo smutno. Ale teraz mamy już i dzwony i organistę mamy Polaka. Owoż chcą nasi panowie, co sami są Węgry, żeby on organista przysięgał, że się do polskiego kraju nie wróci, ani Polakiem więcej nie zostanie, to w tedy będzie miał dobrą służbę na Węgrach. W przeciwnym razie to mu nie wolno uczyć tylko do 1. czerwca, a potem musi z Węgier całkiem się wydalić, gdy nie poprzysięgnie. Więc ma strapienia dosyć ten pan organista, bo musi po madziarsku uczyć dzieci, a on zna tylko polskie, niemieckie, łacińskie, słowackie i napółwieksze madziarskiego już się nauczył. Ale mówił mi, że chociażby mu tysiące dawali, to nie będzie przysięgał na Węgry, jeno nazawsze chce zostać Polakiem. A tak samo i ja też chcę do samej śmierci zostać Polakiem i dzieci moje na dalsze czasy na Polaków chcę wychować.

To też ja każdy fałatek polskiego druku tak szanuję i cieszę się w nim, jakobym miał sto tysięcy. Więc mi się już uzbierało wyżej, niż sto pięćdziesiąt książek, to się tak w nich cieszę i czytam, gdy tylko mam trochę czasu i drugim opowiadam, jak się co kiedy stało w Polsce, i jakie obyczaje oddawna istniały i jaki który król był, czy dobry, czy dbał o Polskę — i jakie wojny stały od lat tysiąca.

I mogę prawdę rzec, że com całe życie, od malucha, prosił Pana Boga, żebym mógł mieć jak najwięcej książek, to ich teraz mam do woli. Prawda, że nie mam czasu czytać, ale ufam w Panu Bogu, że przecie będę miał więcej czasu, gdy mi dzieci podrosną, a zaczniemy wszyscy wraz na nasze wyżywienie zarabiać. Ale teraz, miły Boże, muszę pracować dwoma rękami na 7 osób, bo ja ze żoną i 5-ro dzieci, to nas jest 7 gębów na moje dwie ręce. Dzięki ino Panu Bogu za zdrowie, które nam Bóg udziela. Ja więcej jak 10 lat com nie był ani jeden dzień chory, a żona moja on dzieciństwa jeszcze nie

była chora, ino przy porodzeniu dziecka bywa tylko 2 godziny chora, a potem już zdrowa i idzie do każdej roboty. To się nam każdy cuduje, że nam tak Pan Bóg zdrowie daje. I dzieci nam dosyć rosna i fryśne są, choć cały rok mleka kapki nie widzą, bo krowy nie mamy, a kupić niema za co. Jeno tak biedujemy, co kupimy howiedzego łoju za 40 centów kilo, to mamy na cały tydzień omasty, ale bez cały post to ino z octem jadamy, bo z łojem nie wolno.

Ale szerokom się rozpisal, muszę więc kończyć, ino powiem jeszcze, jaki to u nas dnia 13 marca zdarzył się straszny wypadek. Jeden mąż, mający lat 32 i 4 dzieci, przyszedł z Ameryki i przekonał się, że żona nie dochowała mu wiary. Rozżalony okropnie, poszedł do Beli robić przy kolejowej stacji. Udał się do zarobku, a wciąż wzywał, kiedy już żelaznica poleci. A gdy już o 3-ciej po południu nadchodził pociąg, rzucił się na szyny żelazne i przecięło go na pół, że ani ziewnął więcej. Została żona i czworo dzieci na poniewierkę.

Tak więc pozdrawiam serdecznie całą Redakcję i wszystkich czytelników „Zorzy“ i kłaniam się nizko na każdym kroku,

*Jakób Bednarczyk,*  
Polak z Landoku.



## ROZMAITOSCI

**Szenc — bohater.** W tym samym dniu 21. kwietnia, w którym Kraków święcił pamiątkę Tadeusza Rejtana, młodzież rękodzielnicza we Lwowie wieńczyła girlandami z kwiatów pomnik Jana Kilińskiego i śpiewała u jego stóp pieśni rewolucyjne, bojowe.

„Kiliński był szencem, podburzył Warszawę, wyprawił Moskałom weselisko krwawe!“ — śpiewa piosenka i prawdę śpiewa.

Kiedy Kościuszko zaprzysiągł powstanie w Krakowie, a potem w Raławicach pobił przy pomocy chłopów Moskali, jęła i Warszawa sposobie się do walki. A najzwawiej krzątał się tam Kiliński. Wojska polskiego było wtedy w Warszawie trzy razy prawie mniej, niż moskiewskiego. Więc Kiliński namawiał szewców, krawców, mularzy, rzeźników, ślusarzy, kowali, aby jak wybuchnie rewolucja, dopomagali też bić wrogów.

I słowa szewca-bohatera znalazły posłuch szefy. W wielki czwartek, 17. kwietnia 1794 roku, Warszawa, groźna, pełna ducha porwała się do walki z wrogiem, który ją krzywdził, deptał, plugał. A więcej daleko, niż wojska, stanęło do onej walki ludu roboczego.

Gibkie i zręczne są ciała murarzy, stalową moc posiadają ramiona kowali, szydła szewców ostro kołają, a rzeźnikom krew to rzecz zwyczajna. Więc gracko szła im robota. Prali tęgo a zgo-

**Sto dziesiątą rocznicę** Konstytucji Trzeciego Maja święcili miasta nasze i w tym roku niemniej uroczyscie, jak zawsze.

Uchwalenie Konstytucji Trzeciego Maja było ostatnim wiekopomnym czynem Polski przed jej rozdarciem. Konstytucja po rawiała formę rządu w Polsce, nadawała innym stanom, mieszczańskiemu i włościańskiemu, część przywilejów, które przedtem posiadała wyłącznie szlachta. Była więc reformą, była rewolucją, jeno bez rozlewu krwi. Polska nie pod przymusem, nie pod naciskiem gwałtu, lecz dobrowolnie, z miłości wielkiej przysgarnęła do łona młodsze swe dzieci, mieszczańskie i włościan. dla których była macochą przez setki lat. Ta zmiana rządu i praw odrodziła ją, wzmo-gła, wlała w pierś narodu siły do walki strasznej, krwawej, bolesnej, — do walki, która się skończy kiedyś zwycięstwem!

**Dzień pierwszy maja**, który robotnicy wszyst-



Drzewa nad Świtezią.

dnie, bo „czego szewcy nie dołożą, krawcy między sobą skroją; czego kowal nie dokuje, to już rzeźnik dożył!”

Gracko szła robota!

A Kiliński wszędy na czele, a rzeźnik Morawski pomaga mu dzielnie i aż kąpi się we krwi ciemiężców... Zuchem nie lada był i ów kowal, co sztabą żelazną zwał z konia moskiewskiego księcia Gagaryna i czaszkę mu zmiażdżył.

Tęgo prali i sumienia mieli spokojne. Czuli, myśleli i rozumowali podobnie jak i sam Kiliński, który tak pisze w swoim pamiętniku: „W wilję rewolucji poszedłem do spowiedzi na tę samą intencję, aby nam Bóg dopomógł szczęśliwie zacząć i skończyć. Bo chociaż Bóg nie kazał zabijać bliźniego, ale gdy mnie może nieprzyjaciel bez żadnego skrupułu drzeć choćby i ze skóry, a za coż ja nie mam bić najezdniczków?” I prawda!

kich krajów obchodzą jako święto swoje, jako święto pracy. — wypadł u nas w tym roku wspanialej, niż kiedykolwiek.

We Lwowie, na placu Strzeleckim, położonym wśród miasta, zgromadziło się z rana 15 z górą tysięcy ludu roboczego. Światli mowcy przemawiali z trybuny do tego tłumu, wyjaśniając treściwie cele, do których dąży ruch robotniczy. O więc jeden mówił o potrzebie powszechnego głosowania. Inny znowu o konieczności, aby czas pracy dla robotników trwał jeno ośm godzin, bo ludzie niszczą sobie zdrowie i skracają życie, pracując po 10 godzin dziennie i dłużej w ciężkich zawodach, a zwłaszcza w górnictwie, gdzie praca odbywa się we wnętrzu ziemi, wśród gazów trujących. — Trzeci znowu mowca przedstawiał, jak straszne klęski i nieszczęścia sprowadza na ludzką wojna, a w końcu odczytał rezolucję, domagającą

się powszechnego głosowania, ośmiogodzinnego czasu pracy i równych praw dla wszystkich.

Rezolucję uchwalono wśród okrzyków zapamięta, poczem cały ów tłum wielotysięczny ruszył w pochodzie tryumfalnym przez miasto.

I szedł tłum czarny, z pieśnią i okrzykami. Wszyscy razem, wszyscy równi: lud bosi z pod miasta, obok przystojnie odzianych, dzieciak obok przygarbionego starca, murarz z śladami wapna na wytartym odzieniu, obok zasuszonego ślusarza i sznurem przepasanego wyrobnika dziennego.

Pieśń robotnicza biegła z tysięcznych ust. „Czerwony sztandar“ grzmiał echem stokrotnie, od każdego załamka muru się odbijał i biegł dalej i dalej. Przycichał czasami na chwilę, ale wtedy powi trze drgało od okrzyków: „Niech żyją robotnicy lwowscy!“, „Niech żyje Polska demokratyczna!“, „Precz z caratem!“.

A na tłum, rozśpiewany, dumny, upojony, słońce majowe łało potoki światła, jakby chcąc utulić złotą pieszczotę tych, którym życie upływa w dusznych warsztatach, w izbach piwnicznych.

**Jeziro Świtez**, którego dwa wizerunki podaje dzisiejsza „Zorza“, znajduje się na Litwie, w Nowogrodzkiej ziemi, — w rodzinnych stronach Tadeusza Rejtana i Adama Mickiewicza. Choć bardzo pięknie i w malowniczym położeniu otoczeniu, zawdzięcza ono jednak szeroką swoją sławę głównie pieśniom Mickiewicza, które rozgłosiły jego kraję po świecie.

Jedna z onych pieśni od takich zaczyna się strof:

Ktokolwiek będziesz w Nowogrodzkiej stronie,

Do Płuzyn ciemnego boru

Wjehawszy, pomnij zatrzymać twe konie,

Byś się przypatrzył jezioru.

Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona,

W wielkiego kształcie obwodu,

Gęstą po bokach puszcza czernioną,

A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli noeną przybliżysz się doń

I zwrócisz ku wodom lice,

Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą

I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy

Pod niebo idzie równina,

Czyli też niebo swoje szklane stropy

Aż do nóg ci ugina,

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,

Dna nie odróżnia od szczytu,

Zdajesz się widzieć w środku niebokrega,

W jakiejś otchłani błękitu.



## Odpowiedzi od Redakcji.

*Do Szanownych Czytelników we Frysztaście na Śląsku.* Kartka wasza zbiorowa ze wszystkimi podpisami doszła mi w święto Zmartwychwstania. Czytając, z głębokim wzruszeniem imiona Wasze, Panowie i Panie, zrozumiałam odrazu, skąd mi ta radość i ten zaszczyt. Podobają mi się „Zorza“ dla tego, że mówi o Polsce, o Ojczyźnie, której nie zapomnieliście, której wierni pozostali zaiste serca Wasze. O nichże to święte uczucie nie gaśnie nigdy w ludzkie śląskim, niech owszem goręje płomieniem coraz jaśniejszym!

Jeszcze jedno: Zrozumiałam i znaczenie przysłanego obrazka. Przedstawia on wspaniałą górę Czantorję, o której ojcowie rozpowiadali, że we wnętrzu jej śpią zaklęte hufce rycerskie, co zerwą się kiedyś do broni i pójdą w wielki bój za prawdę, za sprawiedliwość, za szczęście narodu i ludzkości! Owoż opowiadanie ojców sprawdza się za dni naszych. Lud pracujący, pogrążony od wieków w sen ciemnoty i niewoli, poczyna się budzić, otwiera oczy, staje do walki o swoje prawa.

Pozdrowienie mu!

Szanowne „Koło Akademickie Szk. Ludowej“ w Krakowie. Numera „Zorzy“ wysyłamy pod wskazanym adresem. Ale przysłana kwota pokrywa prenumeratę na czas daleko dłuższy od określonego w przekazie, bo na dwa lata z górą. Szanowni Panowie raczą o tem pamiętać.



**Treść numeru:** Tam, na wschodzie. — Hanusia. — Na zagonie. — Tadeusz Rejtan. — U Sienkiewicza w gościnie. — Czyny nauczające. — Jaskółki. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi Redakcji.